

ANDRZEJ DOBROWOLSKI

Wspomnienie o Przyjacielu

Grupa młodych reżyserów pracujących już dzisiaj samodzielnie, zarówno w centralnych jak i w tych najbardziej oddalonych punktach naszej skomplikowanej mapy teatralnej, to ludzie, którzy przy różnej wiedzy i talencie, mają niewątpliwie jedną cechę wspólną: ukończyli oni wydział reżyserski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej — i z tej może racji odznaczają się niezwykle uodpornionym systemem nerwowym.

To nie było takie proste przeżyć w ciągu kilku lat studiów kilka zasadniczych reorganizacji uczelni, wiele zmian władz oddalonych punktach naszej skomplikowanej mapy teatralnej, to ludzie, którzy przy różnej wiedzy i talencie, mają niewątpliwie jedną cechę wspólną: ukończyli oni wydział reżyserski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej — i z tej może racji odznaczają się niezwykle uodpornionym systemem nerwowym.

Wśród rozsiadanych dzisiaj po wszystkich niemal teatrach polskich byłych słuchaczy PWST z wydziału reżyserskiego jak i z aktorskiego, łatwo można wyodrębnić pewną „podgrupę”, której w konkretnej już pracy najłatwiej jest znaleźć wspólny język teatralny, którą łączą wspólne upodobania teatralne i nieodłączące się niczym zatruciu wspólne prze-

życia i wspomnienia — ta podgrupa to byli uczniowie Leona Schillera, ci, którzy uczyli się jeszcze w prowadzonej przez Niego szkole w Łodzi, a następnie w Warszawie.

Prowadzone przez Schillera zajęcia seminaryjne nad naszym dramatem romantycznym, niezapomniane — wielogodzinne nieraz Jego wykłady, nacechowane odbrzmieniem wprost wiedzą, okraszane mądrym, choć jakże ciętym nieraz dowcipem, zdawane u Niego egzaminy, praktyczne zajęcia w teatrze pod Jego kierunkiem, czy wreszcie nieoficjalne spotkania i rozmowy w zawsze gościnnym i otwartym dla młodych domu prywatnym Schillera — rozszerzały nasze horyzonty, uczyły, zmuszały do samodzielnego teatralnego myślenia.

Zdarzyło się tak, że w niewielkim, a walczącym z wielkimi trudnościami na odpowiedzialnym terenie Opolszczyzny, Teatrze Ziemi Opolskiej zebrało się kilkunastu absolwentów szkoły teatralnej z Łodzi i Warszawy. Młodzi byli aktorzy, młodzi reżyserzy i scenografowie, młode kierownictwo teatru. Nawet uciążliwe objawy nie zdołały osłabić w nich entuzjazmu do pracy, a że prawie cała ta gromada wywodziła się ze szkoły Schillera i jako grupa „terenowa” została trochę zapomniana przez swoich następnych pedagogów — nie więc dziwnego, że tam właśnie powstał pomysł zwrócenia się do Rektora Schillera z prośbą o objęcie osobistej i bezpośredniej opieki nad realizacją zaplanowanej w repertuarze komedii Drdy „Igraszki z diabłem”. Znając ilość zajęć Rektora w Warszawie pomysł ten był nieco ryzykowny, ale chociaż narodził się w początkach listopada, już w połowie tego miesiąca delegacja teatru dwuosiobna do zawsze gościnnych drzwi mieszkania przy ulicy Puławskiej.

Rezultat tej pierwszej wizyty był niespodziewanie pomyślny: Rektor zgodził się na trzykrotne, kilkudniowe przyjazdy na próby do Opola, zapewnił stałe konsultacje przygotowującemu widowisko reżyserowi, udostępnił nam swoje opracowanie dramaturgiczne tekstu i cały materiał muzyczny.

Druga z kolei wizyta na ulicy Puławskiej miała za cel omówienie koncepcji scenograficznej widowiska. Towarzyszył mi młody scenograf kol. Krakowski, który nigdy dotąd z Rektorem się nie stykał i mając nastąpić rozmowę przeżywał lęk dookładnie, że spoczęgo z tremą z trudem doholowałem na 6 piętro. Drzwi otworzył nam sam Rektor. I wtedy jeszcze raz mogłem podziwiać Jego osobisty urok i umiejętność postępowania z ludźmi. Kilka minut rozmowy na jakis neutralny temat, parę złośliwych płoćtek o innych scenografach rozładowały szybko sytuację i przełamały pierwsze lody, a kilka zwiezłych, ale jedynych uwag o scenografii „Igraszek” postawiło i objaśniło problem plastyczny inscenizacji. Schiller potrafił narzucić swoje widzenie i interpretację sztuki nie krępując zupełnie indywidualności twórczej plastyka. Nie żądał w żadnym wypadku kopii swojej inscenizacji kłódkiej. Pozostawił reżyserowi i scenografowi swobodę samodzielnego rozważań. Po dwóch godzinach rozmowy, stremowany do niedawna scenograf wychodził oczarowany wiedzą i indywidualnością wielkiego artysty.

Ułożyliśmy plan pracy. Rektor miał przywieźć na pierwsze próby czytane, następnie na próby korekcyjne po pierwszym ustawieniu sytuacji, wreszcie na cały okres prób generalnych.

Niestety, nadeszła pierwsza wiadomość o chorobie. Terminu rozpoczęcia prób nie można było żadną miarą odłożyć ze

względu na wymagania planu — rozpozczliśmy więc sami. W cały zespół teatru opolskiego wstąpiło jakby nowe życie. Nie minęły 2 tygodnie, a wszyscy od kierownika artystycznego do maszynistów podpisywali na różne sposoby przepiękne melodie Schillerowskich piosenek.

W chwili ukończenia pierwszych projektów dekoracji i kostiumów doszła do nas wiadomość, że Rektor przebywa na obserwacji w jednym ze szpitali w Krakowie, ale w którym — tego nie potrafił powiedzieć nikt. Pracownicy niecierpliwili się czekając na robotę, a my nie chcieliśmy oddać projektów do realizacji bez uprzedniego zatwierdzenia ich przez Rektora. Wybaliliśmy się więc znowu z Krakowskim na poszukiwanie. Po dotarciu do szpitala na Prądniku przywitany nas nowe przeszkody: specjalne dni i godziny przyjęć, regulaminowy brzoński wstępu na teren szpitala i nieustępliwy portier przy bramie. Przypomnienie sobie lamentującego naszego kierownika technicznego i wizja bezczynnych pracowników dodały nam energii: pod pozorem uzyskania jakiejś informacji w kancelarii udało się nam zmylić oerbera, a potem dokoła błądziliśmy po różnych oddziałach i korytarzach umykając przed podejrzliwymi pielęgniarkami i lekarzami. Wreszcie trafiliśmy na białe drzwi poszukiwanej separatu, za którymi wita nas zdziwiony nieco uśmiech Rektora. Siedzi na łóżku obłożony książkami, na kółkach leży kilka tomów wydania Wyspiańskiego. Właśnie czytał „Zygmunta Augusta”.

Porozkładane na łóżku i podłodze projekty do „Igraszek” zmieniają w jednej chwili separatkę szpitalną w pracownię scenografa. Zjawia się przerażona dyżurna pielęgniarka, próbuje interweniować — ale po chwili rezygnuje. Tym razem teatr zwyciężył medycynę. Rektor dyskutuje poszczególne projekty, robi poprawki, wyjaśnia elementy na przykładowych ilustracjach z wyciągniętych gdzieś spod poduszki zeszytów „Sztuki Ludowej”. Pełen dowcipu i humor opowiada o Starym Krakowie swojej młodości, mówi o ostatnich premierach warszawskich, o Brechcie, dużo o planach wydawniczych Sekcji Teatru Państwowego Instytutu Sztuki, sypie anegdotami...

Mijały tygodnie prób. Kilkakrotnie odwiedzin w warszawskiej klinice były ze względu na pogorszący się stan zdrowia Schillera coraz krótsze. Za każdym jednak przyjazdem z Opola, byliśmy chociaż na kilka minut przyjmowani. Rektor interesował się wszystkim: od rozwiązań poszczególnych scen aż do mało ważnych (zdawałoby się) rekwizytów. Radził np. z czego najlepiej zrobić suszoną szarancę, którą odżywia się pułstelnik Scholastyk, rysował jak skonstruować kolatki, przy pomocy których wiejskie diabły straszą grzeszników w „Czarcim Młynie”, mówił jak powinny wyglądać karty do gry w „diablińskiego miasza” — uczył nas, że w przygiolowywanym spektaklu nie ma rzeczy nie-ważnych.

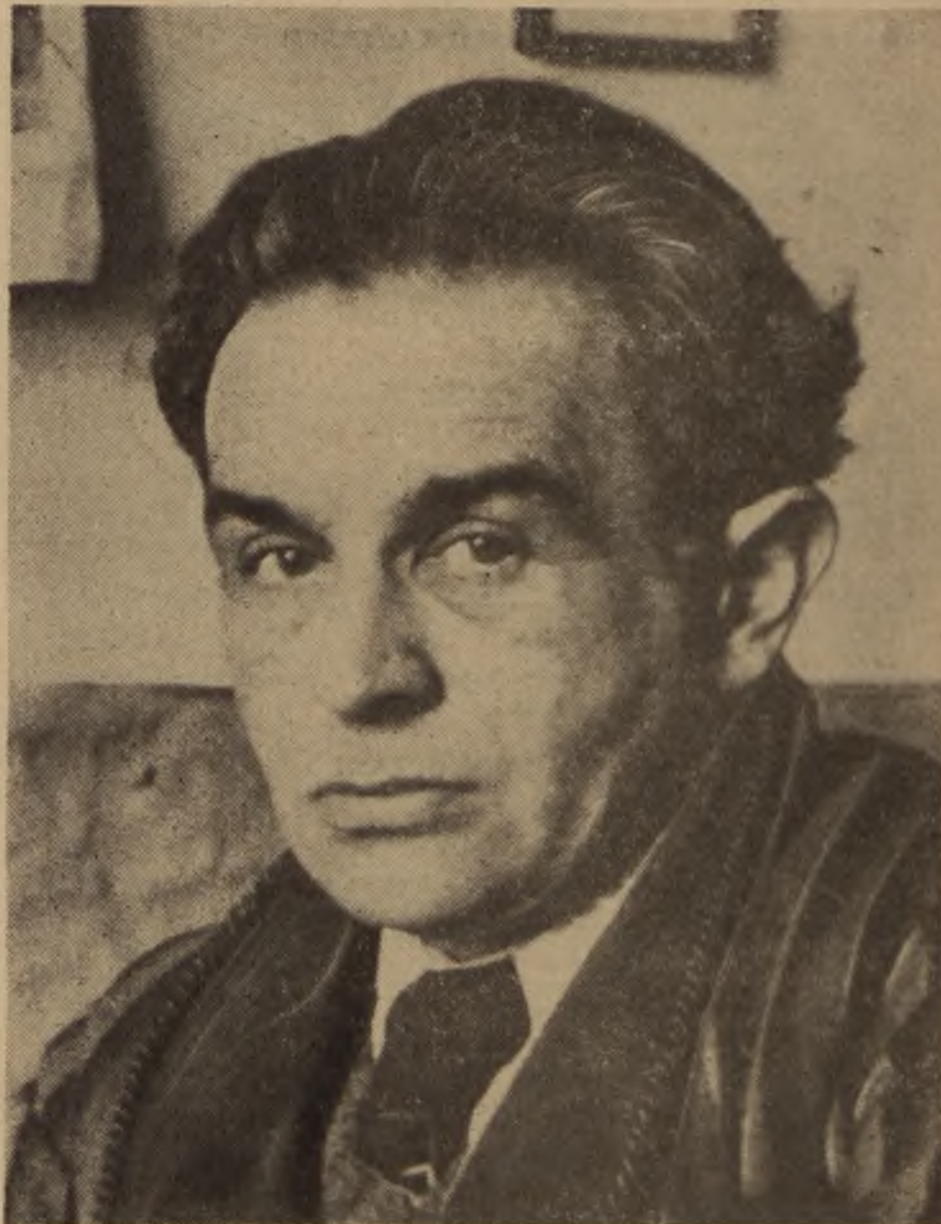
W czasie pierwszych prób generalnych nadszedł ze szpitala telegram do zespołu z życzeniami pomyślnej premiery i z prośbą o przywiezienie kompletu fotografii, afisza, programu i ustnych relacji.

Premiera odhyla się 18 marca. 25 marca nadeszła wiadomość o Jego śmierci.

Nie naszą jest rzeczą sądzić „czy” i „w jakim stopniu” udało się nam w opolskim spektaklu, nie idąc drogą kopiowania, oddać intencję, stworzyć klimat i nastrój Schillerowskiej inscenizacji — należy jednak podkreślić fakt, że sama świadomość pracy pod Jego bezpośrednim kierunkiem i odpowiedzialność za tę pracę podziałały mobilizująco na cały zespół teatru. Wszyscy aktorzy i cały personel techniczny starali się w miarę swoich możliwości dać z siebie wszystko dla jak najlepszego przygotowania tego nietłutego w warunkach prowincjonalnego teatru widowiska.

Płynę stąd jeden wniosek: młodym zespołom, pracującym w trudnych warunkach na terenach oddalonych od większych centrów kulturalnych, konieczny jest od czasu do czasu zastrzyk rady, zainteresowania czy krytyki ze strony wybitnych ludzi teatru. Pozostawianie i puszczenie na czas dłuższy samopas młodych choćby nawet utalentowanych artystów, grozi jednym wielkim niebezpieczeństwem: wypaczeniem kryteriów oceny swojej własnej pracy. W środowisku o zupełnie niewyrobionej teatralnej publiczności, gdzie brak fachowej krytyki prasowej, obracając się stale w kółku tych samych ludzi, młody aktor, reżyser czy scenograf może czasami stracić świadomość wartości tego co robi dobrze, a co źle. Powalczam — konieczne jest zainteresowanie i krytyka.

Leon Schiller stał się dla nas wzorem takiego szczerzego zainteresowania i płynącej z serca krytyki.



Przed rokiem przestał pisać Konstanty Ildefons Gałczyński. Data 6 grudnia 1954 roku zamyka pierwszą rocznicę śmierci wielkiego poety.

Tamten 6 grudnia przerwał pracę twórczą. Pozostały szkice poematów, liryki o niezamkniętej strofie, niedopisane stronicie, niedopowiedziane zdania i słowa. Przed rokiem — rankiem 6 grudnia — Gałczyński jeszcze pisał.

Jego czuła wyobraźnia, poezja Jego wzruszeń i siła Jego poezji mówiły o wieku dojrzałym. Był to czas dojrzałej już wielkości twórczej — każda nowa strofa mówiła jasno o tym, że oto formują się i rosną nowe piękności polskiej liryki.

Praca ta urwała się w pół strofy niemal, prawie w pół słowa — Konstanty Ildefons Gałczyński przestał tworzyć.

Zegaliśmy Go przed rokiem — pozostał jednak w historii polskiej poezji. Pozostał w jej teraźniejszości, Echo Jego głosu zadźwięczy niewątpliwie także w jej czasie przyszłym.

W kilku zdaniach — poza pozdrowieniem pamięci i poza przypomnieniem daty — nie da się nie powiedzieć. W najbliższym numerze „Przedpola” wrócimy do dzieł poety, którego poezja pozostała wśród nas.

Adolf Niedworok *)

Opolskie słowa

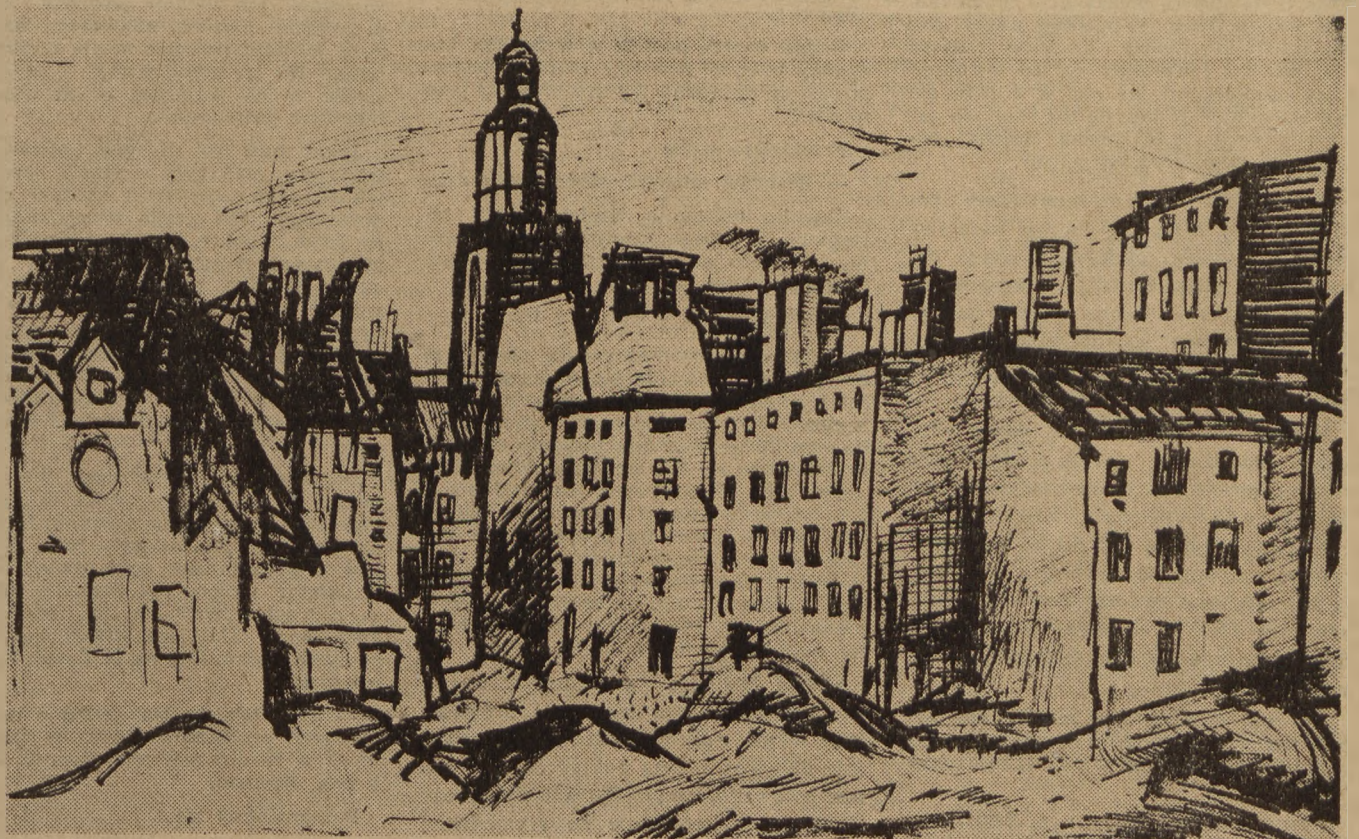
O serce, stokroć rwiesz się ku ojczyźnie,
pod dach samotnej matki twojej.
O słowo, któreś z czary mej polszczyzny,
ukłonił się domom wdzięcznym znojem.
I wykielkujcie mi, opolskie wiersze
z rodzimej gleby, z miłości najszczerzej.
Tu urodziłem się. Tu nad kolebką
matkę widziałem i tu mego ojca
wrog zabił ostrym zdradziecznym wystrzałem.
Lecz w mowę darmo godził: odmłodzoną
jak zieleń dębów w czerwcu — ukochałem,
teraz nią mówię, marzę, teraz walczę o nią,
choć jeszcze w pełni słów jej nie poznałem.

* * *

Nie zadymiają piastowskiego miasta
koksownie, nie czernieją węglem wieś szerokie,
lecz płynie prąd energii ponad każdym masztem,
po Odrze barki ciągną aż do zmroku.
Wiruje woda u nadbrzeżnych bagien,
ciemna o olchy się rozbija nagie.
Koparki wyrzucają piasek, beton z garnie
moczary i już na wal się Opolanie garną.
Portlandzki cement „Bolka” — na topiele
spadnie i moczar zniknie pod twardą twą stopą.
Dziś po fajrancie, nie na karuzelę —
do książek pójdę, po wiedzę i spokój.

* * *

Niech Odra szumi... Na łódce posłuchać
jak maj słowicze trele sypie wokół.
Wieczór — aksamit, szary gołąb grucha
i piastowskiego zaniku nłyśka cokol.
Ten śpiew i rzeki szmer zniewoli ciebie miła,
i to mi powiesz o czym dawniej śniłaś.
Błękitna radość, wstążka na zakiecie
i włosy twoje pachnące wiatr czesze.
Patrz, jak w wrzaskliwym naszym powiecie
dziś cicho miła Catuję. Nie grzeszę...



J. Celnikier — „z teki wrocławskiej”

KIEDY PRZYSZŁA, NIOSĄC KACZEŃCE

Kiedy przyszła niosąc kaczeńce, najstrojniejsza wiosenna pora zarzuciłem ci na szyję serce — czerwony koral.

Jeśli kiedyś w drogę pójdziemy, wspólnie go chrońmy, by się nigdy koral nie zmienił w kamień ogromny.

RZECZY CODZIENNE
Stasi

Chciałbym coś w życiu wynaleźć, żeby na co dzień zostało. Nie armatę i nie organy, ale jakąś drobnostkę małą, powszednich rzeczy garstkę. Chciałbym być co dzień jak ten z Holandii złotnik zakochany, który wynalazł naparstek.

DZIEWCZYNA Z WARKOCZAMI

Jadwiga warkocz dwa czarne miała. Szedłem do niej, ale odeszła i zmilka i tylko warkocz wpisałem w legendę.

Nie dotknąłem ustami jej ust ani włosów, gdzieś w lesie ogromnym została i nigdy jej szukać nie będę...

Bo skrzydła co niosły mnie do niej, bo miłość z mych ramion opadała, jak z jej ramion warkocz dwa ścieła.

Nad rzeką pod rękę idziemy. Na rzekę mgła się kładzie, jak kładka z białych brzoź.

Moja głowa jak czarna pochodnia, twoje włosy jak światła promienie. Szukamy, gdzie Wielki Wóz.

Nad rzeką pod rękę idziemy, Wielkiego Wozu szukamy. Usta dotknęły ust.

SREBRNA BAJECZKA

Wieczorem, wieczorem jesiennym, wiatr łuskał deszczu strąki. Leciały kropelki ziarna sienne, dzwoniły jak dzwonki.

Pogasy iskry nad paleniskiem, sen sklecił oczy dzieciom, i tylko kropelki srebrnym błyskiem na szybach świeca.

Jeśli do jutra któraś zostanie, już nie zastygnie w zimny sople: ułożę ci srebrne, prześliczne korale z deszczowych kropel.

W LESIE

Dzieciłoły echo wystukaly z dziupli. Pomiędzy sosny szło. Wiatr je do leśnej zaniósł studzienki, rzucił na dno.

Kiedy latem w źródła przyklekam, dłonią wody czarperne piję — słucham, słucham zdziwiony, czy to echo ze źródła, czy tak serce bije?

PIERWSZY POCALUNEK

Miłość wichry rozwiała i wszystko zapomniałem jak dalekie wybrzeże.

Jedni mówią: smak morwy, drudzy mówią: smak wiśni — a ja nie wierzę.

Skądże mam się dowiedzieć, aby o tym powiedzieć, szczerze?

PYTANIE PÓLRETORYCZNE

Wy, co znaleźć iamb umiecie, rozgrzyżając każdy wiersz. pieśni znacie, każde włókno, do was zwracam się, powiedźcie: jakim metrum ćwierka świerszcz, gdy mu smutno?

O URSZULCE SPALONEJ

i jak z Czarnolasu dla Jana jesteś mi Saro — Urszulę. (Stanisław Wygodzki)

Nie znała ludzkiej nienawiści. Prócz radości nic nie znała jeszcze. Bawiły ją zielone łacie i cieszły złarenka deszczu.

Nawet nie wiem, czy lalkę miała: nie wszystkie dzieci lalki mają. Długo nocami matka płakała po całym kraju.

Zabrano Urszulę w dzień pogodny z piasku na zakręcie i powieszono ciemnym wagonem na Oświęcim.

Były z Francji, Węgier z Polski całe z kwitnącego kraju Homera. a szła spokojnie, bo nie wiedziała, że się ur'iera.

Inne już niebo i ziemia Inna i salwa pod murem nie błyska i tylko ojciec, gdy Urszulę wspomina dzieci zaciśka.

Gdzieś w oleskim powiecie...

I

Niespodzianie spadł śnieg i na szosie zrobiło się ślisko. Jeszcze w nocy, gdy stał przy oknie, niebo było wyiskrzone, mroźne. Przy krawężnikach chodników zamarzyły kałuże brudnej wody jesiennej i błyskały martwym światłem lamp. A teraz już było ślisko na gładko ujeżdżonym śniegu i mała niebieska, dobrze już wysłużona Skoda zataczała się, tańczyła na ostrych zakrętach — w Jelowej, koło kościoła i później, w lesie.

— Ten faszysta... Ja, ty wiesz jaki on był faszysta...

Szofer ma na imię Janek, jest wysoki i czarniawy. Gdy mówi, można odnieść wrażenie, że jest obrażony albo że się sprzecza. Nie śmiem spytać, gdzie stracił trzy środkowe palce u lewej ręki. Chyba był za młody do Wehrmachtu?

— A terozki tak: Trza jechać w dzień, pojada, trza jechać w noc, tyż pojada... Pojada...

Milknie i nagle wśluchuje się z napięciem w pracę motoru.

Drugim pasażerem jest Helena Mioska, wiceprzewodnicząca Zarządu Wojewódzkiego ZMP. Ona też mówi jak tamten — faszysta. I jest w tym wiele żaru, nieostygniętego gniewu.

Helena niedawno miała taką historię: Z Niemiec zachodnich do rodzinnej wsi Dąbrówki przyszedł list. „Pierwsza na najwyższej gałęzi zawiśnie Helena Mioska”.

Ten „faszysta” siedział tam z karabinem na walizce i tylko czekał. Kiedyś, za Hitlera, całą gminę trzymał w żelaznej garści. Grozi jej, grozi Opolszczyźnie, grozi Polsce i grozi całemu światu.

Powiedzieli jej, żeby nie szła do Dąbrówki — zabiją. Poszła na przekór groźbom. Powiedziała komuś tam: głupi. Moja ziemia, nasza ziemia! I nie się nie stało — ludzie schyliłi czoła przed jej odwagą. Teraz piszą do niej listy z tej samej Dąbrówki. Pokazywała mi taki jeden, pisany po niemiecku, na poźółkłym, buchalteryjnym papierze. („...po polsku to ona umie ale pisać w tamtych czasach nie miał ja kto nauczyć. A teraz już stara, więc i pisze po niemiecku”). Żeby tow. Mioska coś tam zalałowała, bo trudno samej poradzić.

Helena jest drobna, nleduża. Na twarzy jej znać trudy dawnych służb kulačkih i krzywd, i terazniejszych, drogich sercu trosk o dzień dzisiejszy i jutrzejszy tej ziemi, tego kraju, tego świata.

Przed Bierdzanami wyszedł na drogę piękny, dziesięcioletni jeleń. Stał spokojnie na skraju szosy i patrzył na nadjeżdżający samochód. Gdy Skoda była o pół setki metrów od niego, lekkim truchtem przebiegł na drugą stronę i odwróciwszy łeb ku nam, nie miał zamiaru przyspieszać biegu. Szoferowi drżały ręce na kierownicy, szeptał coś bezgłośnie, jakby się modlił. Wreszcie nie wytrzymał: — Jerrunie, żeby tu jako flinta!

— Po polsku lepiej, ni? — Co?

— Nazywa się Różana Góra. Był taki faszysta. Nazywał się Rosenberg. I już go nima. Kaput. Norymberga.

— Tamten Rosenberg, tamten faszysta też zaczynał jak ci teraz, od mordowania.

bierności — żeby nie brano udziału w wyborach, żeby bojkotowano zarządzenia władzy ludowej, żeby nie wstępowało do spółdzielni produkcyjnych. Rozumiesz? A dalej — wbić klin między miejscowych i napływowych Polaków — rozbić jedność narodu. Po co? Wiadomo po co! Wiadomo, czego chcą. Nie ukrywają przecież...

— Wiem. Helencie też nie ułatwiano życia, choćby ty Szymon. Józefowi Sobkowi, który tu był przed tobą — również. Teraz jest kierownikiem wydziału w Zarządzie Wojewódzkim. Mimo wszystko...

Trudne jest nasze życie.

Było już całkiem ciemno. W budzowskiej świetlicy zastaliśmy zaledwie parę osób, przeważnie dzieci. Starsi schodzili się powoli — kończyli gospodarskie zajęcia. Około 7-jej sala zapelniała się, było gwarno i trochę zbyt uroczyste. Bo to nie często zdarza się, żeby budzowska świetlica miała gości z powiatu, województwa i stolicy równocześnie. Uważnie słuchali słów Szymona — starzy, poważni, o twarzach, z których trudno wyczytać co ludzie myślą, tyle w nich powściągliwości.

Tylko z tyłu gdzieś, chłopcy zaczęli bawić się z kotem. Gdy kot miauknął, któryś raz z kolei, ludzie nie wytrzymałi. Śmiech się rozlecił, spokojny, dobry, swobodny. Kofa wyzuczono za okno, chłopców skarcono ale atmosfera stała się zywsza, cieplejsza. Już nie patrzyli na Szymona, jak surowi sędziowie. Gdy mówił o tym, że rada nic nie znaczy bez codziennego czynnego poparcia ludu, którzy ją wybrali, kiwali poważnie głowami:

— Tak, tak, trzeba trzymać z narodem. Ty mówisz, ale żebyś ty sam dobrze zrozumiał, chłopcze. Młody jesteś, masz ciekawe życie za sobą, ale żebyś wiedział, że z narodem trzeba trzymać. Bo to jest twoja siła.

Lecz gdy mówił, że nie wolno wprowadzać podziału na miejscowych i osadników, bo takiego podziału nie ma — twarze niektórych znów skamieniały i znów wyczytać z nich nie można było nic.

Helena szepnęła:

— Ja, tu dużo roboty trza zrobić...

IV

Przy końcu zebrania przyjechał z Olesna zespół PDK. Dziewczata były zmanięte, Kleszcz zacierał ręce i tupał nogami. W świetlicy z ich przyjazdem zapanaowała atmosfera zabawy.

„Karliku, Karliku
Co ci po tym pyriliku,
Karliku, Karliku...”

Piosenkę znalazł w „Sztandarze Młodych”, w programie dla ekip agitacyjno-artystycznych, nauczyli się jej w ciągu paru zaledwie dni i olo śpiewają:

„Jak nim pyrła o ściana
— hej, o ściana
tuna węgiła dostana
hej, hej dostana...”

Tę piosenkę śpiewa zespół „Śląsk”. Jest to chyba jedyna pozycja w repertuarze zespołu z PDK, przejęta od innego zespołu. Wszystkie inne piosenki są „oryginalne”. „Karlik” bardzo się podoba i niedługo będzie śpiewany przez cały powiat. Niedługo też cały powiat będzie śpiewał przepiękne, pełne humoru i bardzo oryginalne oleskie piosenki ludowe: „Pytała się matka cery”, o brzydkich pannach z Olesna, co to „gambijom smarowały”, żeby się chłopcom podobać, czy też o tym, że „niedaleko Olesna, baba chopa odesła, bo nie umiolił rzemieślnia”.

Był na zebraniu chłop z Budzowa nazwiskiem Ceder. Dopominał się o przyjazd posta, towarzysza Mrochenia i miał pretensje z powodu spóźnionego przyjazdu zespołu. Mógł liczyć około 50 lat, ale twarz miał pomarszczoną, prawie jak starzec. Kiedy zespół śpiewał o tym, że „niedaleko Olesna baba chopa odesła” wyszyscy obecni w świetlicy zaczęli się nagłe odwracać do Cedera, pokazywać go palcami i śmiać się „wesolo, hucznie”. Śmiał się i sam Ceder: oczu nie było mu widać, zniknęły w pomarszczonej twarzy. Usta miał szeroko otwarte i lzy ślekały mu po policzkach.

Dobry to był śmiech, nie złośliwy. Piosenka, stara, ludowa oleska piosenka trafiła do serc ludzi, dała im radość. A potem, być może, niejednemu przysiała refleksja: przecie to tutejsze, opolskie — polskie.

Zespół posiada „własne piosenki” zebrane z powiatu oleskiego przez tow. Ligęzę z PDK. Czy dużo? Bardzo dużo — prawie si e d e m s e t. Ogromna księga kultury opolskiego ludu, pełna dowcipu, najprzedniejszego humoru, prostej, a jakże czystej melodii — księga ludowej obyczajności, kultury językowej. Dokument dowodzący niezaprzeczalnej polskości tej ziemi i patriotyzmu jej ludu — patriotyzmu, który znalazł najpełniejszy wyraz w zbrojnych powstaniach śląskich.

Język, kultura — to jedna z więzi łączących ludzi w jeden naród. Te pieśni, różne „godki” ludowe, powinny stać się własnością wszystkich zespołów. Ich ustami powinny mówić wszystkim słabym, wszystkim, na których musiła przeleć swoje piętno wyćniść 600 lat germanizacji — o ich narodzię, o ich polskości, o ich własnym, ludowym patriotyzmie.

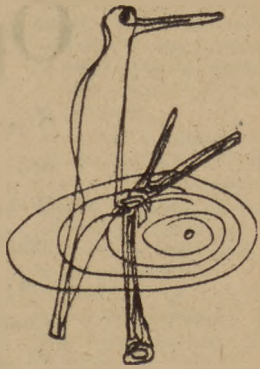
Jakaż musi być siła tego ludowego patriotyzmu, jeśli była w stanie oprzeć się tak długiemu naporowi polityki germanizacyjnej, jeśli mogła stworzyć tak silny język, kulturę, które przetrwały przez kilkanaście pokoleń! Trzeba to wziąć, unieść wysoko, pokazać ludziom. Uodowodnić tym, którzy przyszli tutaj z innych terenów nasze niezaprzeczalne prawo do tej ziemi, żeby poczuli się jej gospodarzami. Żeby tym, którzy pragną zrobić naszą jedność na Śląsku Opolskim przeelwstawić realną, wielką, oczywistą siłę.

Do Zarządu Powiatowego wróciłimśy późną nocą. Piękna willa w ogrodzie (mieszkał w niej kiedyś wysoki hitlerowski urzędnik powiatowy — teraz Szymon jest tu gospodarzem) była oświetlona. Instruktorzy jeszcze nie pokładli się spać — przygotowywali się do powiatowej konferencji ZMP, na której będzie się wybierał delegatów na II Zjazd. Sukała maszyna.

— Tak, tak, to jest jeden z najważniejszych problemów ideowo-wychowawczych w twom powiecie. Pomyśl jeszcze o tym, Szymon.

Pożegnaliśmy się. Przed nami droga do Opola. Reflektory wdybywały z ciemności zarysy drzew z białymi pasmami. Niebo znów się zamurzyło i zaczął padać śnieg.

Opole, w końcu listopada 1954 r.



Piękna jest Ziemia Opolska.

Foto: S. Arczyński

Ale tamten skończył, a my żyjemy... Nas jest więcej, ni? — No, ja... potwierdziła Helena.

II

Chciałem wrócić do owych listów, które przychodzą z Niemiec zachodnich do wielu Dąbrówek na Opolszczyźnie, nie

— U nas to nie jest tak ważny problem... — odparł.

— Spotykacie się z tym codziennie. Spowszedniało wam. To się nazywa zniczulica.

— Może, może... — powiedział niepewnie.

Wychodziliśmy z gospody. Przy bufecie dwu podchmielonych robotników patrzyła na nas spod zmrużonych powiek głośno, prowokacyjnie głośno rozmawiało po niemiecku.

Ktoś tam, na zabawie publicznej, również przy bufecie zaczął „ajli, ajlu, ajla”, wytupując obcasami rytm marsza — rytm, którym po Warszawie, w Paryżu, Pradze i Charkowie chodzili żołnierze hitlerowskiego Wehrmachtu.

Ludzie się oglądają, ale nikt jakoś nie reaguje.

Tak jest w Budzowie, na krańcu oleskiego powiatu. Dlaczego, towarzyszu Szymonie?

Helena Mioska poszła do Domu Kultury, gdzie miało się odbyć zebranie komisji wyborczej. Denerwowała się, bo dwie komisje umieszczono w jednym, niedużym pokoju. Zajrzała do list wyborczych. (Jak ze sprawdzaniem? Jak zetemponcy pomagają?), porozmawiała z nauczycielką, która przyszła sprawdzić listę i szukała wraz z kierownikiem PDK Kleszczem pomieszczenia dla terenowej komisji. Przy okazji robiła mu wymówki (i miała rację), że do PDK przychodzi za mało młodzieży.

III

Gdyśmy wyjeżdżali do Budzowa, mroziło. Czerwone, zimowe słońce ugryzło w nagich konarach i gałęziach. Niżej, ciężko, nieruchomo stała chmura śniegowa. Niebo było smutne — czerwono-seledynowe. Chmura miała barwę gałęzi w mroku, tyle, że soczystszą.

W Budzowie miało się odbyć spotkanie wyborców z kandydatem do Powiatowej Rady Narodowej. Kandydatem był Szymon Lachowicz. Usiadł na przednim siedzeniu i odwrócił się do nas puszczając na Helene kłęby gryzącego dymu. Palił „Sporty”.

— Jak dobrze pójdzie w wyborach, będziemy mieć w powiecie 15 proc. zetempowskich radnych! Wy rozumiecie, jaka to siła?

Przetarłem szybę.

— Patrzcie, kochani, słońce zachodzi...

Zapadło milczenie. Szofer zapalił reflektory i z uwagą wpatrywał się w szosę. Dopiero gdyśmy wjechali do lasu, Szymon ocknął się.

Rozmawialiśmy o Holiku z Radawia.

Holik był dobrym aktywistą, ale gdy za dużo kłopotów zwałilo mu się na głowę — lubił popić. To nie jest najlepszy środek samoobrony... A kłopotów miał niemało. Zawsze. Szczególnie lata przyszło mu spędzić bodajże na froncie wschodnim, skąd wrócił bez dłoni. Potem starał się o protezę w skórzanym rekawicze. Słowo „faszysta” wypowiedział podobnie jak Helena i Jasio — nasz szofer, ale było wiele, którzy odpowiadali mu „tyś sam faszysta”. Ludzie nie zawsze umieją rozumnie nienawidzić: jeśliś był w Wehrmachcie, toś (automatycznie) faszysta.

Można Holikowi pozazdrościć uporu, woli. Starczyło mu jednego i drugiego, żeby w tak trudnych warunkach prowadzić aktywną robotę polityczną. Był potem przewodniczącym Zarządu Gminnego ZMP, teraz kandyduje do gromadzkiej rady.

— Tak...

— Dobry, mocny człowiek, choć nierzadziej się i staniał, gdy szedł. Rodzina i ten Wehrmacht i ludzie... Wiesz przecież...



Ślączarki z pow. oleskiego w strojach ludowych.

Foto: CAF

Ponieważ jednak flinty nie było, zaczęliśmy się śmiać z szofera, po czym zajęliśmy się roztrząsaniem jego przysłóg myśliwskich, piękna zimowego lasu i nocnych rykowił przy księżycu.

Oto i Olesno. Kiedyś, nie wiadomo dlaczego nazywano się Rosenberg, co, po polsku znaczy mniej więcej Góra Róż lub Różana Góra.

mogłem jednak odmówić sobie zapisania tamtej rozmowy.

Wiatr zachodni przynosi tutaj ulotki z polskim i niemieckim tekstem: „Kto zdradzi niemiecką ojczyznę — biada mu! Nie posyłać dzieci do polskiej szkoły! Nie pozwalać im słuchać Chopina, czytać Mickiewicza i Heinego! Strzeż tej ziemi i jej niemieckości jak oka w głowie. Bo my wrócimy!” A kto się do tego nie zastępuje, będzie jak Helena Mioska „powieszony na najwyższej gałęzi”.

Radio „Rias” mówi to samo. Stare „porrzywdzone” w naszym ustroju kulaktwo rozność te wieści cichcem, pomaga mu spekulant, który nastrój niepewności, tymczasowości i strachu chce wykorzystać dla swoich spekulacyjnych kombinacji. Począt przychodzą listy z pogrózkami. Straszą, straszą, straszą.

Najczęściej spytają w odpowiedzi tamto pogardliwe, gorące nienawidzące słowo „faszysta”. Odpowiedzią jest odwaga Heleny i ten list po niemiecku w polskich sprawach na poźółkłym, buchalteryjnym papierze. Odpowiedzią jest fakt, że osiemdziesiąt procent powiatowej organizacji ZMP w Olesnie stanowi młodzież urodzona na Opolszczyźnie przed wyzwoleniem.

Ale nie zawsze, nie zawsze adnauerowska propaganda rewizjonistyczna znajduje na Opolszczyźnie taką odpowiedź.

Rozmawialiśmy o tym z Szymonem Lachowiczem — przewodniczącym tamtejszego Zarządu Powiatowego.

— Im idzie o to, żeby nastroszyć, zniechęcić ludzi do uprawiania ziemi, młodzież — do uczenia się, do współzawodnictwa i słuchania koncertów, Zmusić do

